

Jerzy Ohnet.

Śmierć Bonapartemu!

18)

Na wyrok nie czekał długo. Skazanie było nieuniknione. Saint-Régeant'a i Carbona zasądono na karę śmierci.

Pani Lerebourg powróciła właśnie do zdrowia i zeszła do sklepu, do pracy, gdy rozeszła się wieść o skazaniu Saint-Régeanta. Pocciwy Lerebourg robił, co mógł, byle tylko zataić przed żoną nieśczęsny los tego, kogo usiłowali ocalić. Przykro mu było niezmiernie, gdy zdawał sobie sprawę z wzruszenia, jakiego dozna Emilia na wiadomość, że temu, którego on nazywał stale Wiktorem Leclerc, policzono już dni żywota, dzielące go od złozenia głowy na szafocie. Pousuwał dzienniki, których żona zresztą nie lubiła czytać. Otoczył ją troskliwym czuwaniem, by uchronić od udziału w jakiejś niedyskretnej rozmowie. Lecz nie mógł zmusić do milczenia swój personal i kupujących, zwłaszcza na czas swej niobecności. Z tej też strony padł cios na panią Lerebourg. Piękna pani Regnault de St. Jean d'Agely przybyła pewnego dnia do sklepu po gęsty szal gazowy. Zasiadła przed półkami drobiazgów i gawędziła z panną Hermancyą, przebieając z roztargnieniem materye.

— Chcę oślonić twarz tak, by mię nikt nie mógł poznać. Umówiłam się z kilkoma znajomymi, że pójdziemy popatrzeć na stracenie tych potworów: Saint-Régeant'a i Carbon'a.

Nim dokończyła tego zdania, panna Hermancya głośno krzyknęła. Oto właścicielka zachwiała się, usiłowała oprzeć o stół i w tej chwili omdlała. Wszystko zbiegło się koło niej. Podniesiono ją z ziemi, przeniesiono do jej pokoju i użyto wszelkich starań, by ją ocucić. Właśnie w chwili, gdy odzyskała przytomność, nadszedł Lerebourg. Został sam z żoną i począł ją troskliwie wypyttywać. Wciąż jeszcze zmioniona, ledwo wydobyła głos:

— Nie mówiłeś mi nic o tem, że ten biedak dostał wyrok śmierci.

— Nie chciałem narażać cię na silne wzruszenie. W jaki sposób dowiedziałas się o tem?

— Przed chwilą pani Regnault mówiła p. Hermancyi.

— Do licha z plotkarkami! A zatem, skoro wiesz już o tem nie przyda się trzymać w tajemnicy. Tak, moje dziecko, ten nieszczęśliwy chłopak! Mój Boże! — Jakże mogę tak wyrażać się o nim, po tem, czego się dopuścił. — A jednak, póki był dla nas Wiktorem Leclerc — był tak miły i sympatyczny!

Westchnął ciężko.

— Tak się stało: Pan de Saint-Régeant, skazany na śmierć, pojutrze ma być stracony...

— Pojutrze! — zawołała Emilia z przerażeniem. — To już za dwa dni!...

— Będzie już po nim! Rozumiem twe wzruszenie. Podzielałam je nawet, lecz należy brać sprawę tę więcej na rozum. Nie znaliśmy tego młodzieńca jeszcze przed pół rokiem. Spotkałem się z nim przypadkowo w podróży. Oddał mi usługę, lecz to ani krewny, ani dawny przyjaciel. Zapewne — śmierć w tym wieku, to rzecz straszna! Lecz przypomnij sobie, że to wielki zbrodniarz. Chyba nie będziesz chorowała z jego przyczyny...

Pocciwiec starał się, jak mógł, uspokoić Emilię argumentami, których ona słuchała tylko jednym uchem. Do świadomości jej wracała wciąż uparcie myśl jedyna: zginąć wraz z Saint-Régeantem, w jego objęciach, z jego pocałunkiem na ustach. Podeszła do swej toalety, dobiła z szuflady pewną flaszeczkę. Był to płyn bezbarwny, bez woni, w szczelnie zamkniętym flaconie z kryształ. Jeden ruch, jedna chwila, a trucizna byłaby połyknięta. Ukryła ją na piersiach i zebrała się z silnem postanowieniem do wyjścia. Zatrzymała pierwszą spotkaną dorożkę i kazała się wieźć do ministra policyi.

Fouché był tego dnia nie w humorze. Wcisnął się wgłąb fotelu i czytał gazety, w których sekretarze zaznaczyli interesujące dlań ustępy. „Publicateur“ atakował go w gwałtownym artykule z racji jego roli w czasie zaburzeń lipcowych i usług, świadczonych Barras'owi, przez zdradzenie spisku Babeuf'a. Mówiąc o jego pochodzeniu, autor artykułu nazwał go synem piekarza. Ze wszystkiego, co się o sobie w dniu tym naczytał, ta rewelacja zdawała się go wyłącznie obrażać. Zmiał i rzucił gazetę:

— Syn piekarza! Nigdy! Syn kapitana! Niech będzie ex-filipin, ex-komdencjonal, nawet królo-bójca! Lecz — piekarczyk — za nic!

Ten monolog przerwał Villiers, który stanął w progu.

— Cóż nowego? — spytał Fouché, którego twarz już złodowaciała.

— Obywatelu ministrze, właśnie zgłosiła się do mnie obywatelka Lerebourg i prosi o posłuchanie.

Ściągnęły się wąskie usta Fouché'go. Przypominał sobie rozmowę z Bonapartem o ważności zeznań, któreby poczynił Saint-Régeant. Skinał głową:

— Dla czekającego cierpliwie wszystko na czas przychodzi, zapamiętaj to sobie — Villiers. Obywatelka Lerebourg przychodzi w chwili bardzo odpowiedniej. Wprowadź ją tutaj.

Fouché powstał. Miał dnia tego, w nieurzędowym ubraniu, minę Bogu ducha winnego człowieka. Oparł się o kominek, by jednym spojrzeniem ogarnąć całą postać przybyłej. W twarzy jej utkwili oczy posępne, ociężałe, jakby ołowiane. Jakże się zmieniła od czasu pierwszej tu bytności. Fouché silił się na życzliwą uprzejmość.

— A, to pani Lerebourg! Czemu mam przypisać tak miłego gościa?

Podniosła oczy zasłane łzami i z głębokim bólem powtórzyła:

— Miłego gościa!

Choć wyzbyty z wrażliwości, Fouché zaczerwienił się na tę wymówkę. Wskazał jej krzesło i zapytał szczerzej:

— Słucham! Czy będę w możności oddania pani przysługi.

— Sam oświadczył się pan z gotowością spełnienia mej prośby.

— Z prośbą tedy pani przychodzi, a o co?

— Błagam o pozwolenie widzenia się z panem de Saint-Régeant!

— Nie obawiasz się pani, by ludzie o tem mówili?

— Nie, odkaż wiem, że on zginie, wszystko mi jest obojętne.

Fouché namyślał się chwilę w milczeniu, a potem pochylił się ku niej z szeptem:

— Pragnie pani jego życia?

Nadzieja błysła w jej oczach:

— Czyżby to było możliwe?

— Zależy to tylko od niego.

— Cóż ma zrobić?

— Powinien zasłużyć na wyrozumiałość, na wspaniałomyślność tego, kogo chciał zgładzić, czyniąc zeznania...

— O! Na to nigdy się nie zgodzi!

— A pani zgodzi się widzieć go na szafocie?

— Nakłonić go, by mówił!

— Sbańbić!

— Ocalić!

— Ma zdradzić swoich?!

— Ach, oni tak o niego nie dbają! Cóż dlań zrobili? Czy wstawili się za nim, czy poczynili jakie kroki? A sławny Jerzy, groźny szuan, który nie zna, co to opór, który umie władać bronią, gdzież on teraz? Siedzi sobie najspokojniej w Bretanii, gdy tymczasem jego towarzysz broni kona w lochu więziennym, z widokiem rychłego końca na szafocie. To tamten pchnął go do czynu, a sam się ukrył? I żadnych nie daje o sobie wieści! A książęta? Ow hrabia Prowansyi, który bawi się na emigracji składaniem marnych rymów, lichych epigramów — gdy tymczasem jego rycerze życie zań oddają; ten hrabia Vendome, co nie miał nawet odwagi stanąć na czele Wandej, lecz polował sobie w Anglii. I to dla nich ten biedak się narażał; miał rzeczywiście dla kogo! Pani — a dziś, nim jeszcze został stracony — już o nim zapomniano! Lecz mógłby jeszcze odzyskać życie i wolność; czyż odmówi z niewytlumaczalnej wierności dla tych niewdzięczników. To uraga zdrowemu rozsądkowi!

Sledził wrażenie słów swych na pani Lerebourg. Widział jej zmieszanie pod wpływem argumentów, drżącą rozbudzoną nadzieją. Nacierał:

— Pierwszy konsul jest skłonny darować mu życie i wolność! Wyjedzie do Ameryki. Dostanie na drogę sto tysięcy. A któż pani przeszkodzi jechać za nim? Jesteście oboje tak młodzi. W nowym świecie otwiera się wam wspaniała przyszłość. A do urzeczywistnienia waszego szczęścia trzeba tylko drobnostki... Chwilki rozsądku, zastanowienia...

Emilia ręce łamała:

— Zdradzić! On, taki szlachetny! Za nic się nie zgodzi!

— Czy kocha panią?

— Tego jestem pewna!

— A pani jego?

— Dałabym zań życie!

— Niechże pani zatem próbuje go ocalić. Villiers zaprowadzi panią do więzienia. Będzie na panią czekał u wejścia. Jeżeli Saint-Régeant zgodzi się na postawione mu żądania, Villiers dostarczy mu przyborów do pisania. Gdyby sam nie chciał pisać podyktuje, a Villiers napisze; jego podpis wystarczy. Pójdzie pani. A proszę i to zważyć, do jakiego skłonny jestem ustępstw.

Spojrzała nań z wyraźnym niesmakiem:

— Nie, pan chce wyzyskać sytuację jedynie dla swej korzyści. Mnie pan nie zwiedzie!

— Niech i tak będzie, do wdzięczności nie mam pretensyi. Pani ma starać się o wydarcie tej głowy z rąk kata. O to chodzi pani.

Nie odpowiedziała. Zadzwoił. Na progu stanął Villiers. Wychodząc, nie raczyła spojrzeć na kusiciela, nie pożegnała go.

A Saint-Régeant siedział związany w swej celi i prowadził spokojną rozmowę z dozorcą, który go strzegł dniem i nocą. Pocciwiec ten odbył włoską kampanię i był wówczas ciężko ranny, a po powrocie dostał posadę stróża więziennego. Słabość miał dla Saint-Régeant'a mimo całego potępienia dla jego czynu. Chętnie dyskutował z nim na ten temat:

— Jakże pan mógł, jako żołnierz, bo przecie odbył pan wojnę wandejską, przyłożyć rękę do takiego zdradzieckiego podejścia?

— Czyż nie stosuje się przy oblężeniu min i podkopów? Czyż to nie jest podejściem? A wysadzenie mostu wraz z przekraczającym go wojskiem, podpalenie okrętu, czy różni się czem od mojego postępku?

— Nie, wówczas nieprzyjaciel jest w postawie obronnej. Ma się na baczności. Ale tam, w czasie pokoju, wśród nieprzewidywanego nic ludu... Zabijając kobiety, dzieci i znieścacka zaskoczone straż. Czemkolwiek by pan się tłumaczył — to zawsze niegodne.

— Z pierwszym konsulem jesteśmy na stopie wojennej, on tropi nas, śle za nami swe lotne pułki, ściga oddziałami policyi... Walczymy, jak możemy. Jesteśmy garstką ludzi wobec całej armii, zastępu urzędników, rządu. Gdybyśmy nie działali skrycie, oddalibyśmy się sami wprost w ręce Bonapartego.

— To byłoby dobrze! Jakżesz chcecie walczyć z takim człowiekiem? Jemu nikt się nie oprze. Gdybyś go pan był widział pod Lodi: w ogniu dział wśród grenadyerów, padających, jak domki karciane! To mi, panie, walka! — A on wychodził z ognia nie tknięty. Byłem w Marengo pod Chamberthac... Pierwszy konsul siadł przy drodze do Castel Ceriolo na miedzy polnej. Dokoła grad kul i pocisków, zasypywały jego szaty. On małą szpicrutą strzepywał je z siebie. Wtem — nadbiegł Desaix! Padli sobie w ramiona! Po kilkominutowej rozmowie Desaix postanowił: Zaczynamy! Ponieważ pierwsza potyczka była przegrana, Bonaparte zgodził się wydać drugą... Panie de Saint-Régeant, swoją metodą nie daleko pan zajdzie. Z losem nie wąż nie się pan za bary. A Bonapartemu los sprzyja... On nam nierówny. W nim jest coś, czego nam brak. Wystarczy spojrzeć nań, by uwierzyć w jego wyższość. Jemu sądzone być zawsze panem!

— Kulka w łeb i będzie po panu...

— Jego się kuła nie imie. Sam pan miał tego dowód. Trafił pan wszystkich innych, którym pan nic złego nie życzył. A on uszedł cało!

Saint-Régeant głową zaprzeczył:

— Bajki! Trzeba zręcznie nosić rolę niedosięgalnego i straszyć tem wrógów!

— Co pan mruczy pod wąsem?

— Przypominam sobie, że nie tak to dawno ofiarował mi rangę pułkownika, bylebym przeszedł do jego obozu.

— I nie zgodziłeś się? Wolałeś czyhać na jego życie? — Byłbyś w najbliższej wojnie, a jestem pewien, że nie obejdziesz się bez ruchawki, przeciwko Anglii, zostałbyś generałem! A mając łaski u woda, zaszedłbyś niewiem dokąd. Nie byłoby nad ciebie nikogo. Patrz tylko, ile zrobił dla swych towarzyszy broni... Murat, Lannes, Bessières, Soult, Junot. Ej, panie de Saint-Régeant! lepiejby było na placu boju, prowadzić trzy tysiące piechurów z bronią na ramieniu, lub jezdnych ośm setek, niż gnić w więzieniu z zakutymi rękami, w oczekiwaniu funkcyonariusza, który ma dotrzymywać towarzystwa w ostatniej podróży.

Te rozważania filozoficzne szczerzego serca przerwało wejście do celi głównego dozorcę, który wprowadził Villiers'a.

— Skazany na gościa — wyrzekł szorstko.

Saint-Régeant podniósł się zdziwiony i starał dojrzeć przez drzwi niedomknięte, kto to czekał